

Paweł Głowacki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Parę sekund Peszka

Gdy po czterech godzinach z hakiem milusi kinder theater, ten żartownie nazwany „Auto da fé” kinderbal sceniczny Narodowego Starego Teatru niknie w zmierzchu pod wolno opuszczającymi powieki, skrajnie wyczerpanymi światłami - znienacka przytłacza ciąto literatury. Ulga zapachu ludzkiego mięsa. Tania iluzja poszła spać, więc przez sekund czterdzieści albo przez minutę z hakiem - frazy Eliasa Canettiego brzmią czysto, bo wreszcie bez czasu dziecięcego teatru nad łbem. Słychać włókna słów i chrząstki zdań. W finale scenicznego papieru - wreszcie dyszy duch opowieści.

Ten, który przez ponad czterech godziny był głównym bohaterem, niejakim Kienem (Jan Peszek), mołem książkowym, zapiekłym sinologiem w bibliotece bez końca - czyta w centrum proscenium. Za głową Kiena - światło z ulgą opuszcza świat. Kien czyta. Nikną regały, miękną grzbiety książek, framugi toną w twardniejszym zmierzchu. Ludzie życia Kiena przepadli dawno. Został on. Jeden człowiek? Siniący sinolog. I do pierwszego ognia - na głos odczytuje ostatnie takty 550 stron „Auto da fé” Canettiego.

Dywan... Dywan w świecie nie do ocalenia... Dywan w bibliotece... Dywan wśród liter bez końca... Wśród liter popełnionych po to, by ocalić widok z okna... Peszek czyta, że Kien: „zapala sześć nowych zapalek”... Udało się... Dywan uległ... Płonie podszew-

ka świata... Skwierczy zapisany papier... „Gdy płomienie go wreszcie dosięgają, zaczyna śmiać się tak głośno, jak nie śmiał się jeszcze nigdy w życiu”... Gdy płonie dno - popiół nieba jest tylko kwestią godzin. Do rana ogniska niebieskie będą lodowate.

Peszek czyta słowa o nieuchronności chłodu, do którego dojść trzeba przez pożar równie nieuchronny - przez pożar czystości dotyku, pożar kamiennych tablic, pożar oddechu normalnych, pożar cudu miłosnej bliskości, pożar świata zwyczajnego. I te kilkadziesiąt sekund finalnej lektury głośnej - to czas niezapomniany. Właściwie - dlaczego? Bo gdy w zmierzchu reflektorów wreszcie niknie karczemnie płaski teatr reżysera Miśkiewicza - to wielki aktor łapie świeży oddech słowa nieskalanego? Czyżby? Jeśli tak, to w imię jakich tandet, w imię jak cennych tandet, przez cztery godziny aż tak boleśnie robisz pan z siebie, panie Peszek, durnia?

Canetti - to nie jest dobre samopoczucie gawiedzi. Cemu w pierwszej części Miśkiewicz zamienia prozę Canettiego w rodzaj „Samych swoich”, tyle że pretensjonalnie głębokich? Jeśli w drugiej, półtoragodzinnej „klusce”, niezawodny aktor Piotr Skiba (Fischerle) po raz milionowy gra głębię nieuchwytności opadania portek swych - to jak długo jeszcze mam nie zasypiać? Itd., itp...

Wedle Miśkiewicza Canetti to nie pisarz niepowtarzalny, jeno dostarczyciel pseu-

dometafizycznych uciech dla ludu pracującego miast i wsi. Tak tę premierę widzę. Oto Kien ma dużą bibliotekę w domu, oraz „niewielkiego” w gaciach, czyli w punkcie, który jest sednem ksiązek przeznaczonych do czytania jedną ręką. Później Kien „wycirucha” o imieniu Teresa (Iwona Bielska) do pracy przyjmuje. Dalej - żeni się z wyciruchem. Po czym... Następnie... Dość!!!

Wedle Miśkiewicza opowieść Canettiego to jakiś długi i ponury żart z nieudolności świata. Najpierw kabaret życia małżeńskiego (on - kruchy, ona - niech Pan Bóg bronii). Później - jeszcze mętniej. Ergo, ktoś po scenie się pląta, jakiś chłop ma potężne małżeńskie kłopoty z babą. Baba chłopą przerasta, że tak powiem, oddecho. Więc... To nie koniec? Nie! I tak dalej...

Boże, cóż ja gadam? Gadam o dwóch różnych, doskonałych różnych rzeczach. Gadam o teatralnym przedstawieniu reżysera Miśkiewicza. Trzeba rzec - stare dzieje. Stare, bo po raz enty mistrz teatru, mocarną opowieść na sceniczny warsztat biorąc, poprzestaje na referowaniu fabuły. O czym jest „Auto da fé”?

Cała, ponadczterogodzinna mordęga Miśkiewicza udowadnia, że Miśkiewicz, na warsztat biorąc kostyczne arcydzieło Canettiego, z teje arcydzielnej kostyczności stylistycznej - zaledwie kość zostawił. Schematu się doczytał w opowieści ogromnej - i schemat wystawił. Schemat pokazał, kościotrupa,

sztancę... Jakąś uroczą nędzę dramatów rodzajowo-maślowsko-dowcipnych! Hej!

Jedno pewne - Canetti jest gdzie indziej. Porzucił jasność świata chemii (studiował tę jasność) na rzecz niejasności świata słów. Opowiedział o grudzie w kosmosie. O losie ludzkich pcheł, co tak dojrzały, że ocalić się ich nie da. Jeśli na początku było słowo, to na końcu może być tylko popiół słowa. Ale żeby popiół był - to ogień najpierw być musi. Nie?

Myśl Canettiego tylko o tyle żyje, o ile żyje opowieść jego. A ona - gdy się nie opuszcza smaków, zapachów, kolorów i brzmień zdań. Nie bez kozery opowieści Einsteina o ogólnej względności wszechświata - nikt w teatrze nie wystawia. Tam nie ma opowieści. Nie ma ciała. Tam jest potęga faktów. Dlaczego więc Miśkiewicz traktuje język Canettiego tak, jakby to był znak bezcielesny?

Nie wiem. Płaskawa młodzież tak czyta klasyków. Schematycznie. Węszy za odpowiedź na pytanie: o co chodzi? Wtedy znika nieprzezroczystość literatury. Mrze opowieść. A wraca, gdy mrze teatr naskórkowych esencji. Teatr jest, bo Peszek siada i czyta Canettiego. Potężny teatr wraca, gdy wraca potęga ducha opowieści.

Narodowy Stary Teatr. Scena Kameralna. Elias Canetti „Auto da fé”. Adaptacja i reżyseria Paweł Miśkiewicz. Scenografia Barbara Hanicka. Muzyka o. Grandier.